Konrad Jeremus (Proletaryat, SOLO)

„Jeżeli chłopaki z Proletaryatu postawili właśnie na mnie, to na płycie będę chciał pokazać cząstkę siebie. Mam nadzieję, że mi się uda" – Konrad Jeremus

Tomasz Hajduk

Kiedy i jak zaczęła się twoja przygoda z gitarą?

To był rok 1982. Mój brat Mariusz Jeremus założył wtedy wraz z Andrzejem Adamiakiem zespół Rezerwat. Co ciekawe, stało się to w moim pokoju. W tamtym czasie ta kapela rzeczywiście coś znaczyła na rynku. Jeździłem z nimi na wszystkie koncerty, które odbywały się w Łodzi i okolicach. Byłem wtedy dzieciakiem i do dzisiaj pamiętam, jak kiedyś zabrałem bratu plakietkę wykonawcy z napisem „Rezerwat" i założyłem ją sobie na szyję. Chyba od tego się zaczęło. Wiesz, ta atmosfera koncertów i sławy... Pamiętam taki wielki koncert w Łodzi, „Rockowisko". Grały tam najbardziej popularne zespoły rockowe w Polsce, takie jak Lady Pank, TSA, Rezerwat... Niesamowita atmosfera! Dzięki temu, że brat grał w zespole, mogłem z tymi wszystkimi muzykami – Panasewiczem, Borysewiczem, Machelem – osobiście porozmawiać. Machel ostatnio powiedział mi, że teraz by mnie nie poznał: „No, trochę podrosłeś!" (*śmiech*).

Ale dlaczego akurat gitara?

Wtedy instrument mógłby być każdy – na przykład bębny. Gdyby mój brat był perkusistą, to pewnie dziś umiałbym grać na dwie stopy.

Kiedy zacząłeś naukę?

Brat chciał zacząć uczyć mnie gry na gitarze, gdy miałem jakieś trzy, cztery lata. Jednak wtedy byłem jeszcze trochę za mały i nie bardzo chciałem. Faktycznie wziął mnie pod swoje skrzydła dopiero, kiedy miałem siedem lat, no i tak to się właśnie zaczęło. Dodajmy, że nie było lekko, a on rzadko mnie chwalił. Teraz sam mam kilku uczniów i uważam, że jednak trzeba chwalić, bo to działa bardzo motywująco. Fakt faktem – osiemdziesiąt procent wiedzy o graniu przekazał mi brat. Musiałem czasem grać przed jego kolegami, co było bardzo stresujące, ale to dzisiaj procentuje. Kiedy człowiek wychodzi na scenę, ten stres działa mobilizująco, a nie paraliżująco.

Kto jeszcze wywarł wpływ na twoją grę?

Wpływ na moją grę mieli też tacy gitarzyści, jak Wiktor Daraszkiewicz czy gitarzysta zespołu The Bootels i założyciel grupy PJ Band w jednej osobie, Piotrek Jełowicki, który wtedy wydał jedną z pierwszy płyt gitarowych w Polsce. Bardzo mi się to spodobało. W tamtym czasie powstawały już podobne płyty na Zachodzie, ale żeby tutaj, w Polsce... Ta płyta jak na tamte (i nawet na obecne) czasy jest rewelacyjna. Inspirowali mnie też gitarzyści TSA: Machel i Nowak. A z zagranicznych gitarzystów? Nie będę oryginalny, jeżeli powiem, że na pewno Vai i Satriani – bardzo fajni goście. Potem zacząłem się interesować jazzem, stąd zainteresowanie takimi muzykami, jak Alan Holdsword czy Scott Henderson, którego uwielbiam. Z muzyki heavymetalowej – Testament i tym podobne rzeczy. To wywarło na mnie największy wpływ.

Miałeś jakiś przełomowy moment w czasie poznawania instrumentu? Coś, co zmieniło twoje podejście do gry na gitarze?

Tak, był taki moment przełomowy. Nie do końca jest związany dokładnie z samym instrumentem pod tytułem „gitara", ale dotyczył pojmowania relacji pomiędzy muzykami w zespole. To jest

bardzo ważne. Był rok 1993 i byłem wtedy szesnastoletnim młokosem. Mogę powiedzieć, że rzeczywiście znałem już zaawansowane techniki gitarowe. Z ówczesnym zespołem CzakRam zagraliśmy na Ogólnopolskim Festiwalu Rockowym w Iłży. Dostałem tam wyróżnienie dla najlepszego gitarzysty festiwalu. Wyróżnienie w imprezie o takiej randze musiało zadziałać na szesnastolatka. A jak zadziałało? Przez dwa tygodnie po festiwalu byłem nie do wytrzymania dla moich kolegów z zespołu. Wiadomo, odbiła mi palma, nagle zostałem gwiazdą, królem gitary (*śmiech*). Sprawę wyjaśnił oczywiście mój brat, który opiekował się zespołem. Zauważył, że stałem się nieznośny, więc podczas jednej z prób wziął mnie na bok, powiedział dobitnie parę słów, po czym kazał wrócić do sali i przeprosić chłopaków za moje zachowanie. Brat to dla mnie taki sam autorytet, jak Steve Vai. Od tamtej pory zrozumiałem, że tak musi być i że zespół to nie jest jeden człowiek, który dostaje nagrodę – wszyscy pracują na wspólny sukces. Dotyczy to także podejścia do samego instrumentu, bo przecież to człowiek gra, a nie tylko jego palce. Od tamtej chwili zacząłem rozumieć, że jeżeli jesteś w porządku wobec swoich kolegów z zespołu, to muzyka, którą tworzysz, też będzie lepsza. To jest bardzo ważne – zmieniło to całe moje podeście do gry.

Z tego, co wiem, od początku grałeś na gitarach Washburn N2. Dlaczego akurat ta gitara?

Jest to trochę przez przypadek. Dawno temu chciałem kupić moją pierwszą profesjonalną gitarę. Piotrek Jełowicki zdradził się, że ma na zbyciu model N2 sygnowany nazwiskiem Nuno Bettencourta. Spodobał mi się. To był jeden z pierwszych egzemplarzy, jakie w ogóle się pojawiły – świetny, nie taka masowa produkcja jak teraz. Później był model N4, gitara niby taka sama, brzmiąca tak samo z dechy, tylko podstrunnica hebanowa i przetworniki trochę lepsze. Lubię te gitary, bo mają czyste drewno – bez żadnego lakieru – tu nie ma ściemy. I rzeczywiście, jak się uderzyło w gitarę, to ona rezonowała całą sobą. Lubię czuć, jak gram to niskie E, które wibruje mi aż w klatce piersiowej...

No właśnie – drewno, przetworniki... Czy masz jakieś preferencje dotyczące konstrukcji gitary?

Wychowałem się na muzyce takich gitarzystów, jak Joe Satriani czy Vai, a co za tym idzie używałem i nadal używam również technik, w których oni się poruszają, a więc tapping, staccato, sweep, legato... Trzeba sobie zdać sprawę, że niektóre gatunki drewna mają więcej dołu, a inne – góry. Chodzi nam w końcu o brzmienie, a wygląd nie powinien mieć większego znaczenia. To, w którą stronę gitara ma słoje, jest kwestią tylko wizualną. Dla mnie ważne jest, by gitara miała drewno, które brzmi jasno, np. lipa amerykańska. Przy szybkich przebiegach jest to wskazane, ponieważ dźwięk jest czytelniejszy, nie muli, ma mniej basu i dolnego środka. Przy szybkich zagrywkach dźwięki się nie zlewają.

A przetworniki?

Gdy miałem Washburny, grałem na pickupach Seymour Duncan – na przykład model 59. To dobre przystawki, ale przy mojej artykulacji w dolnych rejestrach były za mało wyraźne, co było słychać na nagraniach. Teraz gram na pickupach DiMarzio. Są ludzie, którzy mówią, że brzmią one trochę plastikowo i są syntetyczne, ale ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że te przetworniki, jeżeli chodzi o granie szybkich, typowo wirtuozerskich przebiegów, nadają się wręcz idealnie. Mają tę fajną górkę, środek i trochę basu. Przy karkołomnych zagrywkach, które chcemy umieścić we frazie, sprawdzają się znakomicie! DiMarzio są dla mnie też bardziej śpiewne w wyższych rejestrach, gdzie dźwięk po prostu płynie. Lubię te przetworniki, ponieważ są brzmieniowo bardziej miękkie. Do niedawna grałem na modelu Evolution przy moście, a przy gryfie miałem PAF Pro – te mają dużo ciepła i umiarkowany sygnał. Natomiast jeśli zastosujesz Evolution to tak, jakby ktoś ci przyłożył lodem w czoło. Przebije się zawsze, obojętne czy będzie w zespole sześć, czy dwadzieścia gitar. Zawsze będziesz słyszalny. To jest coś niesamowitego.

Pickupy aktywne?

Nie lubię przystawek aktywnych. Przystawki aktywne zmniejszają dynamikę. Jeżeli grasz dwadzieścia lat, dużo ćwiczysz, a twoja artykulacja jest naprawdę w porządku, to wiesz, gdzie mocniej uderzyć, gdzie słabiej i gdzie podkręcić. Wtedy potrzebujesz przetworników pasywnych. Układ aktywny wyrówna to, co grasz w taki sposób, jak robi to kompresor. Nie lubię gitar, które są nie do okiełznania, jeśli chodzi o brzmienie. Uderzasz, ona brzmi, a ty możesz iść poczytać gazetę. Dla mnie sygnał nie może być zbyt mocny. Wtedy wiesz, że gitara odezwie się tak, jak ty tego chcesz. Nie wiem, w jaki sposób radzi sobie z nimi Steve Lukather, który od lat używa aktywnych pickupów. Niech to zostanie jego słodką tajemnicą (*śmiech*).

Jak to się stało, że zdecydowałeś się uczyć innych?

Pamiętam, jak uczył mnie brat. Zawsze mnie to interesowało. Pamiętam też, jak te lekcje wyglądały. Pomyślałem sobie, że też jestem w stanie podzielić się posiadaną przeze mnie wiedzą z ludźmi, którzy będą tego chcieli. Nigdy nie byłem osobą, która mówi: „nie pokażę ci tej techniki, bo będziesz lepszy ode mnie". Zawsze powtarzam moim uczniom: „Jeżeli przychodzisz do mnie, to mam nadzieję, że będziesz lepszy ode mnie. A to, czy faktycznie będziesz ode mnie lepszy, to w dużej mierze zależy ode mnie, a dopiero potem od twojej pracy". Najwięcej zależy od człowieka, który cię edukuje, a resztę trzeba podeprzeć własną pracą. Lubię uczyć, interesuje mnie to. Jestem akurat na takim etapie, że mogę sobie wybierać uczniów.

Jak dobierasz sobie uczniów?

Wybieram tych, których uważam za fajnych ludzi. To człowiek gra, a nie palce. Rozmawiam zawsze z przyszłymi uczniami i mogę wtedy wyczuć, czy to człowiek będzie grał, czy nie. Uczeń musi mieć przede wszystkim słuch – to jest warunek konieczny. Czasami specjalnie potrafię kandydata wkurzyć albo wywołać u niego łzy. Jeżeli człowiek się denerwuje na mnie albo nawet płacze, to widzę, że nie jest z kamienia i naprawdę będzie grał, bo mu na tym zależy.

Chodzą plotki, że brali u ciebie lekcje wszyscy łódzcy gitarzyści młodego pokolenia. To prawda?

Fakt faktem, że trochę tych uczniów się przewinęło. Wielu już odnosi sukcesy. Powiem szczerze, że uczenie to w sumie dosyć ciężka praca. Trzeba się bardzo angażować – każdy uczeń ma problem z czymś innym. Duża część uczniów to zdolni ludzie, którzy grają w różnych zespołach, tworzą swoją muzykę. Mam nadzieję, że przy odrobinie szczęścia i pomocy wytwórni płytowych coś osiągną. Są naprawdę utalentowani i będą świetnymi instrumentalistami.

Uczysz innych, ale czy znajdujesz czas na własne ćwiczenia?

Tak, ale... jeżeli jesteś świadomym pedagogiem, to zdajesz sobie sprawę, że uczniowie wysysają część twojej energii. Jeżeli tego nie czujesz, to nie jesteś dobrym nauczycielem. Taka energia jest też potrzebna, by usiąść z instrumentem i samemu poćwiczyć. To jest najpierw pięć, sześć godzin lekcji dziennie, po których okazuje się, że już tej energii brakuje. Kiedyś ćwiczyłem rzeczywiście po osiem, dziesięć godzin dziennie. Teraz ćwiczę trochę mniej, ale staram się sobie nie odpuszczać.

Grasz obecnie z Proletaryatem. Jak trafiłeś do zespołu i jak wam się układa współpraca?
Gram i mam nadzieję, że będę grał jak najdłużej. Bardzo cenię i szanuję kolegów z zespołu. Chodziłem jako młody chłopak na ich koncerty. Niejednokrotnie, kiedy wpadałem w pogo i wychodziłem posiniaczony, stawałem poobijany pod sceną, myśląc, że fajnie by było z nimi zagrać. Marzenia się spełniają. Trafiliśmy na siebie przez Wiktora Daraszkiewicza, który miał propozycję grania z Proletaryatem, ale stwierdził, że chyba za daleko mu do tej muzyki. To muzyk z nurtu blues-rockowego. Powiedział mi o tym, a ja stwierdziłem, że w porządku, podniosę tę rękawicę (*śmiech*). Przygotowałem oryginalne oraz własne wersje ich utworów. Na przesłuchaniu poczułem poważną tremę. Na szczęście mam w zespole znajomego bębniarza – Małego. Natomiast Olej, inteligentna bestia i niesamowity psycholog, wyczuł, że mam ogromną tremę. Podszedł do mnie i zapytał, czy zrobić mi herbaty (*śmiech*). Mróz odpuścił, wyluzowałem, no i jakoś poszło. Gdy zagrałem swoje, wtedy Kacper powiedział, że właśnie o to im chodziło.

Jesteście z Proletaryatem na etapie tworzenia nowego materiału. Planujesz do tej muzyki wnieść coś od siebie?
Proletaryat to zespół, który nigdy nie stał w miejscu. Każda dotychczasowa płyta mówiła o czymś innym. Dlatego szanuję ten zespół i postaram się wnieść coś nowego, coś świeżego, a zarazem oryginalnego. Gdyby tak nie było, gdybym nie mógł dodać nic od siebie, na pewno bym zrezygnował. Nie ma taryfy ulgowej. Jeżeli chłopaki z Proletaryatu postawili właśnie na mnie, to na płycie będę chciał pokazać cząstkę siebie. Mam nadzieję, że mi się uda.

To prawda, że chłopaki z zespołu kazali ci kupić gitarę siedmiostrunową?
Tak (*śmiech*), choć była to w sumie nasza wspólna decyzja. Stało się to ze względu na nową płytę. Trendy są takie, że dużo zespołów się teraz przestraja, ale my doszliśmy do wniosku, że nie ma się co przestrajać, tylko wystarczy załatwić gitarę siedmiostrunową, no i problem z głowy. Zabrzmi nisko, ale naturalnie. Chcemy, aby ta płyta była nowoczesna i ma być na niej ten dół z siódmej struny. Chcemy też zabrzmieć mocno. A więc ma być ostro, szybko i z niesamowitym „mięsem". Przyznam, że poświęciłem trochę czasu na poszukiwanie gitary siedmiostrunowej. Przerzuciłem trochę tego i powiem szczerze, że efekt był dość długo mizerny. Gdy uderzałeś w tę siódmą, brzmienie było mało czytelne, nie dało się określić wysokości tego dźwięku – po prostu decha nie przekazywała drgań siódmej struny. Tak jakby gitara chciała powiedzieć: „Słuchaj, to ma być gitara, a nie bas, więc ta dodatkowa struna nie ma prawa dobrze zabrzmieć. Lepiej daj sobie spokój". Na szczęście nie uwierzyłem i złapałem siedmiostrunowego Music Mana model John Petrucci.

Uderzyłem od razu w tę siódmą strunę, obawiając się, że nie zabrzmi, ale ta struna naprawdę zagrała (*śmiech*). Normalnie jest głośna, możesz określić jej wysokość, ma swoje pasmo i kopa – nawet z samej dechy. Wiedziałem już, że cała gitara będzie zeznawać. I tak jakoś się stało, że...

...nawiązałeś współpracę z Music Manem
No właśnie. Wszystko dzięki pomocy i uprzejmości polskiego dystrybutora – firmy Music Info z Krakowa. Zainteresował się tym tematem szef tej firmy, Grzegorz Rybicki, któremu powiedziałem, kim jestem i gdzie gram. Bardzo miły człowiek. Dzięki jego działaniom i pomocy wybrano dla mnie najwyższy model siedmiostrunowy. Mogę powiedzieć, że gitara jest wprost rewelacyjna. Jeżeli chodzi o brzmienie, ma równe, bardzo selektywne pasmo od E1 do H7. Przy szybkich przebiegach nic się nie zlewa. Pickupy tak brzmią, że w dole jest na przykład taki fajny „tunel" w arpeggio i stacatto. Czuję się tak, jakbym grał na niej całe życie. Jest to niesamowicie wygodna gitara. Przetwornik przy moście na czystej barwie nie kłuje w uszy. Po za tym ten model Music Mana ma bardzo fajny patent – takie żłobienie w korpusie na wysokości przedramienia, dzięki któremu można na nim oprzeć rękę. Ten Music Man to teraz moja podstawowa gitara.

Zostałeś zaproszony do zagrania w tegorocznej polskiej edycji G3. Jak do tego doszło?
Tak. Jest to dla mnie ogromne wyróżnienie. Gram tam z czołówką polskiej gitary. Wojtek Hoffmann dostał mój materiał, spodobało mu się, i mnie zaprosił. Wojtek to fajny człowiek, który pomaga młodym ludziom, promując ich na rynku. Bardzo jestem mu wdzięczny za to zaproszenie. Razem z chłopakami z zespołu będę chciał pokazać, na co nas stać. Mam nadzieję, że i później po G3 nasza współpraca z Wojtkiem też będzie się idealnie układała i będziemy propagować muzykę gitarową w całym kraju. Parę koncertów na pewno uda się zorganizować, choć wiadomo, że muzyka gitarowa nie cieszy się aż taką popularnością, ponieważ nie ma w niej tekstu. Choć czasami gitara więcej mówi, niż teksty pisane obecnie przez niektórych ludzi (*śmiech*).

Kto z tobą gra?
Mam pakę świetnych muzyków: Paweł Furmaniak na klawiszach, Adam Marszałkowski na bębnach, Radek Wróbel na drugiej gitarze oraz Marcin Markuszewski na basie. Jest to młoda ekipa pełna energii. Gdy takie tuzy w świecie gitary, jak Hoffmann, Sygitowicz, Królik czy Apostolis dali nam szansę, mocno nas to wzmocniło i ostro wzięliśmy się do roboty.

Wróćmy jeszcze do sprzętu. Jakich wzmacniaczy używasz?
Obecnie gram na wzmacniaczu Mesa Boogie Road King (wersja head) wraz z paczką Mesa Boogie Rectifier 4×12". Brzmienie – rewelacyjne. Do grania na żywo ustawiam go standardowo pod Dual Solo Head, ale w studio chcę sprawdzić wszystkie jego możliwości. Myślę, że odezwie się w stu procentach. Jak zaczynałem, grałem na wzmacniaczu Marshall Valvestate, ale w końcu trzeba było zagrać na pełnej lampie. I to był dla mnie szok. Musiałem bardziej przysiąść do ćwiczeń, bo to przecież zupełnie inna bajka. Trzeba było uważać na legato i staccato (*śmiech*). No wiesz, na lampie jest zupełnie inny atak niż na tranzystorze. Mesa ma ten dół, którego potrzebuję. Jest też selektywna. Jeżeli chodzi o mój własny materiał, na przykład ten na G3, to zauważyłem, że łatwiej gra mi się wycinanki na wzmacniaczu typu combo niż head. Jest to również Mesa Boogie, tyle że DC-5 – pełna lampa. Wydaje mi się, że solo zawsze lepiej zabrzmi na combo niż na głowie. Planuję tak to wszystko połączyć, aby głowę i pakę mieć do podkładów, a combo do solówek. Ostatnio myślę też o wzmacniaczu Hiwatt. Miałem już okazję trochę się nim pobawić. Pomimo że to brytyjska robota, nie powiem, ale podobało mi się. Może coś z tego wyjdzie.

Używasz jakichś efektów?
Wiesz, ja lubię biegać po scenie. Na koncertach z Proletaryatem biegam z lewej strony do prawej. W Jarocinie byłem tak zmęczony, że schudłem dwa kilogramy po tym koncercie. Na scenie nie lubię stać w miejscu, natomiast efekty gitarowe zabierają trochę energii i koncentracji. Denerwuje mnie to. Lubię się oddać samej gitarze. Wiesz: tylko gitara, kabel i wzmacniacz. Natomiast efekty gitarowe trochę tej energii i koncentracji zabierają. Zresztą najlepszy efekt – to twoje palce!

Jakie są twoje plany i... kiedy płyta solowa?
Wydanie płyty to kwestia przynajmniej roku... Muszę to solidnie przygotować. Natomiast pierwszych utworów z tego materiału można posłuchać już na koncercie G3. Realizację i nagrania przewiduję gdzieś na grudzień. Materiał nie jest łatwy, a do tego poprzeczka została ustawiona bardzo wysoko. Tym bardziej że wydaniem płyty zainteresowane są firmy w Nowym Yorku. I tu wielkie dzięki dla Pawła Marciniaka (muzyk Varius Manx, a także realizator – przyp. TH), który to wszystko umożliwił i zainteresował kilka osób tam za oceanem. Musimy się więc postarać. Mam nadzieję, że nasza praca nie pójdzie na marne.

Trzymamy kciuki. Dziękuję za rozmowę.
Dzięki! Zapraszam na koncerty.